

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 40 „

$\frac{1}{4}$ „ — 20 „

$\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Zagadka psychologiczna.

Na wiosnę b. r. zaczęło wychodzić w Wilnie popularne piśmko tygodniowe p. t. „Verba veritatis“, mieniące się organem myśli polskiej i katolickiej, czyli po prostu endeckiej, chociaż w sprawach znaczenia drugorzędnej różniące się nieco z kierunkiem oficjalnym stronnictwa. Zdaje się, że pismo to z nastaniem letnich ferij zakończyło swój krótki żywot, w ostatnich jednak swych numerach z okresu przedwakacyjnego dość dużo poświęcało uwagi kwestji stosunków polsko-litewskich, oświetlając ją zresztą w sposób szablonowy i dość naiwny.

Pewne refleksje nasunęły nam jedynie rozważania na temat powyższy dr. J. Pawłowskiego zamieszczone w numerze majowym. Co nas w nich uderzyło, jakie myśli w nas obudziły, — o tem będzie niżej, tymczasem posłuchajmy ciekawych, bo niewątpliwie szczerych wynurzeń autora. Zaczyna on je od wspomnień przedwojennych.

„W roku jakimś 1905—6-tym — pisze — zgłosiłem się na członka do towarzystwa „Rytas“, zaznaczając przytem, iż wstępuję jako Polak. Byłem przyjęty, zapłaciłem składkę członkowską i dość pilnie uczęszczałem na zebrania i obchody. Spotykałem się z p. p. Wilejszysami, ś. p. ks. Tumasem, posłem ówczesnym Litwinów do „Dumy“ rosyjskiej (nazwiska nie pamiętam) i wieloma innymi działaczami litewskimi.

„Drobnym to faktem jest jednak dosyć charakterystyczny. Są w nim dwa momenty. Pierwszy skierował mnie do towarzystwa litewskiego „Rytas“, drugi umożliwił przyjęcie mnie do niego. Przyjrzyjmy się nieco bliżej każdemu z tych momentów. Jestem zwykłym, przeciętnym t. zw. „tutejszym“ — kultura polska, pochodzenie polsko-litewskie. W żyłach płynęła krew polska i litewska, tak przynajmniej wyni-

ka z tradycji i dokumentów rodzinnych. Krzyżowanie tych dwóch ras, osobiście wśród inteligencji na terenie Wileńszczyzny, Kowieńszczyzny i ziem sąsiednich, było zjawiskiem stałym od czasów najdawniejszych i wytworzyło pewien typ Polaka, odmienny nieco od t. zw. „Królewiana“, a tembardziej „Galicianina“ lub Wielkopolanina.

„W duszy tego typu pod wpływem kultury polskiej i, że tak powiem, części krwi polskiej był składnik silny, mocny, który kazał miłować i kochać Polskę, być jej synem. Równocześnie druga część krwi i duszy ciągnęła do Litwy. Tu bodaj tkwi ten pierwiastek, który mnie skierował do „Rytas“. Rzecz zrozumiała, że tu działają nie tylko „instynkty“ wrodzone, ale gra też niepoślednią rolę przywiązanie do kraju, obyczajów, zwyczajów i wszystko to, co współdziała w wytworzeniu się człowieka, typu i rasy.

„Zapytany kiedyś, jak, będąc Polakiem, mogę należeć do litewskiego towarzystwa, odpowiedziałem: „Czy kochając matkę, nie mogę kochać ojca?“

„Ci spośród „tutejszych“, którzy uważali się nie za Polaków, a za Litwinów, mam na względzie miejscową inteligencję, a nie masy ludowe rdzennie litewskie, nie byli właściwie typem odmiennym od „tutejszych“ Polaków. Często sami dobrze nie wiedzieli „tutejsi“ do kogo siebie zaliczyć, czy do Polaków, czy do Litwinów. Znane są wypadki, że jeden brat uważał siebie za Polaka, a drugi za Litwin. Naogół działo się to, co zwykle w takich razach bywa w historii — kultura wyższa brała przewagę i polskość przeważała...”

Stało się tak również z autorem przytoczonych powyżej wywodów. Miłość do matki — Polski do tego stopnia zagłuszyła w nim przywiązanie do ojca — Litwy, że w dalszym ciągu artykułu, gdzie jest już mowa o czasach powojennych i stosunkach obecnych, występuje on już jako stuprocentowy Polak, zapominając zupełnie o krwi litewskiej, płynącej

w jego żyłach, swej „tutejszości“ i swoich dawnych sympatiach do „Rytas’a“.

Z tego to właśnie względu wynurzenia dr. J. Pawłowskiego zasługują na uwagę. Bo taki typ inteligenta miejscowego jest niezmiernie u nas rozpowszechniony. Doniedawna setki i tysiące takich Pawłowskich istotnie czuły się przedewszystkiem „tutejszymi“, łącząc w swej psychice pierwiastki polski i litewski i stanowiąc element niezmiernie pożyteczny z punktu widzenia interesów krajowych, jako czynnik pojednawczy, utrzymujący kontakt pomiędzy obu odłami ludności, zamieszkującej jedno terytorjum.

Już przed wojną wzmagający się nacjonalizm począł czynić spustoszenia w szeregach tych obojnaków narodowościowych, po wojnie zaś wypadki polityczne, w pierwszym rzędzie powstanie niepodległych państw: Polski i Litwy, jeszcze bardziej spotęgowały proces różniczkowania się, i dziś pozostały już zaledwie mizerne szczątki z tak licznej ongiś grupy ludności.

Zjawisko poniekąd naturalne, chociaż dla nas niepożądane. Niema również nic dziwnego w tem, że w większości wypadków przeważała ostatecznie polskość, zwłaszcza na terenie Wileńszczyzny, objętej niepodzielnie wpływami państwowości polskiej. Natomiast jest zagadką psychologiczną, dlaczego poczucie narodowe polskie, ciążenie do kultury polskiej, jakie zatriumfowały w wyniku wzmiankowanego procesu, niemal z reguły kojarzą się z mniej lub bardziej wyraźną niechęcią do Litwy i litewskości? Jest rzeczą zastanawiającą, dlaczego zobojętnienie względem „składnika“ litewskiego, jak się wyraża dr. Pawłowski, tak prędko i tak powszechnie przerodziło się jeśli nie w otwartą doń antypatję, to w każdym razie w zdecydowaną nieżyczliwość?

Być może pewną rolę odegrała tu nacjonalistyczna polityka rządów kowieńskich wobec tamtejszej

ludności polskiej, ale do pewnego stopnia tylko. Ten sam dr. Pawłowski bez żadnej goryczy wspomina o wywłaszczeniu ziemianstwa polskiego i o poczynaniach Litwinów w kierunku konsolidacji narodowej w Litwie Niepodległej. Ale jednocześnie stwierdzając wielkie postępy, jakie poczynił naród litewski w pracy kulturalnej i państwowotwórczej, autor nie może się powstrzymać od zgryźliwej uwagi, że na terenie Polski Litwini dużo zdziałali dla swej litewskości dzięki swej wytrwałości, bezwzględności, a nieraz i „zbędnej uступliwości z naszej strony“.

I to jest niezmiernie charakterystyczne. Na ogół można stwierdzić w miejscowym społeczeństwie polskim znaczną obojętność w stosunku do losów i sytuacji Polaków Kowieńskich. Zdaje się, że opinia publiczna w Wilnie pogodziła się z faktem, że Republika Litewska pragnie pozostać państwem wybitnie narodowym, w którym mniejszość polska zaledwie jest tolerowana. Natomiast jest ona nadzwyczaj czuła na punkcie wszelkiej akcji litewskiej w Wileńszczyźnie. Baczy się też pilnie, aby kulturalny i językowy stan posiadania Litwinów nie uległ tu rozszerzeniu i pogłębianiu.

I gdybyż to nastawienie antylitewskie cechowało wyłącznie żywioł napływowy, dla którego litewskość jest istotnie czemś obcem i egzotycznym. Ale nie. Wśród miejscowych Polaków nie jest ono bynajmniej również rzadkością, a nawet spotykamy je u „tutejszych“, którzy, jak dr. Pawłowski, jeszcze tak niedawno popierali pracę kulturalną litewską w Wilnie i żywo sympatyzowali z odrodzeniem narodowym Litwy.

Czy ta ewolucja „tutejszych“ jest zjawiskiem przemijającym, wytworem nienormalnych warunków i prądów czasowych, czy też przeobrażeniem się ich na stałe,—trudno w tej chwili wyrokować. Mamy prawo sądzić, że tego rodzaju gorliwość neoficka

KS. WL. TOŁOCZKO.

Unja na Białorusi w XVII w. według relacji bazylianina Piotra Kamińskiego.

Szkic poniższy zamieszczony został w Roczniku, wydanym na wiosnę przez Białoruskie Tow. Naukowe. Ze względu na ciekawą treść podajemy go obecnie w przekładzie polskim.

Na kilka lat przed wojną światową, na strychu plebanji gr.-kat. w Kobyłowołokach pod Trembowłą, wśród starych druków i rękopisów, znaleziono liczący 53 stronicie drobnego pisma polskiego rękopis, z końca XVII lub XVIII w. Jest to odpis, nie oryginał, i nosi tytuł taki: *Manuscripta W. Oyca Kamińskiego pisane do pewnego Uniaty Litewskiego przeciwko Uniatom, ale nie dokończone*. Tytuł ten oczywiście pochodzi od kopisty. Trudno zrozumieć, dlaczego nazywa on niedokończonym list, zamknięty w końcu typowym *vale*. Rzecz ta przygotowana już była do druku przed wojną, ale wyszła dopiero przed kilku laty, pod doradzonym wydawcy przez

ś. p. władzę dr. Józefa Bociana tytułem „*W obronie Unji Pociowej*“, który jednak wobec treści listu tego nie wydaje się dlań najwłaściwszym. Ale nie o to chodzi.

Pierwiej nim przytoczymy dotyczące Białorusi relacje o. Kamińskiego, godzi się słów kilka powiedzieć o osobie autora. Piotr Kamiński kształcił się w akademii krakowskiej, gdzie pod r. 1666 figuruje w t. zw. *album* jako bakałarz sztuk wyzwolonych i filozofji. Rychło wstępuje do bazylianów i otrzymuje imię Petronjusza. Jako zakonnik, pełni ważne a odpowiedzialne urzędy, jak wikariusza jeneralnego, audytora metropolitalnego, posługuje do króla, do biskupów, uczestniczy w soborze cerkiewnym w Lublinie, piastuje urząd hegumena i in. Wykształcony, inteligentny, wiele wie, wiele widział, pełen krasomówczej swady i niepospolity humorysta, ale to go czyni tylko ciekawym. Był to jednocześnie serdeczny miłośnik cerkwi gr. kat. i płomienny obrońca narodowości ruskiej w szerokim znaczeniu tego wyrazu.

W dalszym ciągu, posługując się będę cytata-
mi z pracy ś. p. Bazylego Szczurata *W obroni Po-*

z biegiem czasu znacznie osłabnie, bo i dziś już widzimy ogromną różnicę w jej napięciu w porównaniu do okresu Litwy Środkowej i Sejmu Wileńskiego. Niemniej musimy liczyć się z tym objawem ujemnym, jako z jedną z największych trudności w dążeniu do porozumienia polsko litewskiego, w szczególności zaś do rozstrzygnięcia kompromisowego sprawy wileńskiej.

Z natury rzeczy bowiem ten żywioł mieszany jest powołany do odegrywania roli łącznika pomiędzy społeczeństwem polskim a litewskim, a nie do roli klina, rozsadzającego spójność kraju i pogłębiającego antagonizmy narodowościowe. Mimo jego świadomości narodowej polskiej domieszka krwi litewskiej, a nieraz nawet prawie czysta krew litewska powinny mieć wpływ na jego psychikę, czyniąc ją zdolną przynajmniej do odczuwania i rozumienia aspiracji narodowych swych krewniaków ze strony ojca, według określenia dr. Pawłowskiego.

Zanik zaś wszelkiego sentymentu do ojca, którego się kiedyś kochało, a tembardziej wrogi doń stosunek jest niezrozumiałą zagadką psychologiczną.

Kokietowanie Polski przez Sowietów przybiera formy coraz jaskrawsze i nie jest pozbawione czasami przesady i zabarwienia humorystycznego. Obok ogólnie znanego już współpracownika Radka w półurzędowej „Gazecie Polskiej”, warto odnotować wystąpienie prezydenta Białoruskiej Akademii Nauk, Horyna, na zjeździe historyków w Warszawie. Uważał on za stosowne wygłosić w Polsce wobec polskich historyków referat na temat historii Polski i po polsku. Oczywiście nic nowego nie miał do powiedzenia. O ileż referat byłby ciekawszy, gdyby poruszył temat traktujący o przeszłości tych ziem, które prelegent bądź co bądź reprezentował.

Inny przykład. Na zjeździe lekarskim w Poznaniu w obecności Pana Prezydenta Rzplitej przemówił prof. Abrikosów, którego speaker radiowy wyraźnie zaprezentował jako przedstawiciela Związku Sowieckiego. Tymczasem wspomniany delegat w swoim przemówieniu zaznaczył, że reprezentuje *narod* rosyjski. Gdyby nie akcenty życzliwości względem Polski, można by odnieść wrażenie, że przemawiał nie bolszewik, ale

nacjonalista rosyjski. Czego się nie robi dla względów politycznych? Nawet bolszewizm swój zaczynają bolszewicy tuszować. Może całkiem się go wyrzekną, by utrzymać przyjazne stosunki z Polską?

Nie darmo z powodu katastrofy lotniczej i śmierci kpt. Lewoniewskiego nad Wołgą, przedstawiciel czuwaskiej republiki sowieckiej, składając kondolencję, nazwał Polskę państwem sprzymierzonym.

Na marginesie Targów.

W ciągu paru tygodni — od końca sierpnia do 10-go września — Wilno było pod znakiem „targów” i zjazdów. Urządzone w tym roku III Targi Północne dały ku temu okazję, gdyż te różnorodne imprezy zjazdowe zostały skupione w tym okresie częściowo dla poparcia Targów, częściowo wykorzystywały atrakcje targowe dla pomyślniejszego przebiegu zjazdów. Słowem w tym okresie był pewien niepowszedni ruch w ospałym wileńskim „interesie”. Nawet pomimo bardzo niewdzięcznej pogody zwiększony ruch można było zaobserwować chociażby na ulicach doprowadzających do ogrodu Bernardyńskiego, a i kupcy sobie chwalili, że było trochę więcej obrotu, niż normalnie.

O samych Targach słyszeć dało się rozmaite opinie: pesymiści i ci, którym życie obecne mało daje powodów do radości, widzieli w całej imprezie Targów przesadne reklamiarstwo i wylew jeszcze nie ugaszonej przez kryzys radosnej twórczości — inni znów przesadnie podnosili wartość i znaczenie Targów, dopatrując się w ich urządzeniu oznak odwracania się od kryzysu i wejścia życia wileńskiego (a hiperboliści uogólniali to nawet do polskiego) na nowe pomysły tor.

Prawda o Targach leży bezwątpienia pośrodku tych krańcowych opinii. Chcemy ocenić je rzeczowo. Bezwątpienia, że szczerstwialemu wileńskiemu życiu każde ekstra ożywienie wychodzi na dobre. To też i Targi tegoroczne, które dały możliwość tak upragnionych zarobków, które bądź co bądź zwały do Wilna prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy ludzi przyjezdnych — niewątpliwie sprzyjały wytworzeniu pewnego okresowego ożywienia i pod tym kątem widzenia ocenić je należy dodatnio.

tiowej Unii (Lwów 1929), gdzie jest list o. Kamińskiego dosłownie a w całości podany.

Na wstępie swego listu-memorjału o. Kamiński, wobec wyraźnych dążeń w dawnej Rzeczypospolitej ku temu, by łacinnicy mieli prawo udziału w obiorze nawet biskupa greckiego (prawosławnego), opowiada się przeciwko tej inowacji, piętnując zachłanność silniejszych wobec słabszych i wskazując, że „Ruś wybiera sobie Rusina”, jak zresztą i łacinnicy wybierają sobie swego. Dalej o. K. dłużej się zastanawia nad upokarzającą rolą metropolitów greckokatolickich w Wilnie, jakim nietylko żaden biskup łaciński diecezjalny, lecz nawet *łaciński sufragan wileński* nie chciał ustąpić precedencji podczas uroczystych procesyj! Trzeba było trudzić aż papieża Grzegorza XV, by ten dekretem 20-V 1623 obronił metropolitę unickiego, przyznając jemu właśnie pierwszeństwo przed łacińskim sufraganiem wileńskim. „Któż w tem nie dopatry się, że nasz obrządek grecki jest w pogardzie u polskich prałatów, jeśli dla samej odmienności obrzędu biskupi bez jurysdykcji nie chcą w Wilnie ustąpić prawdziwym

arcybiskupom, jakim jest metropolita?” Jeśli tak było z hierarchami Cerkwi gr.-kat., nie mógł być lepszym los duchowieństwa niższego tegoż obrządku. „Teraz — pisze o. K. — pocieszenie spotyka greckich czerńców Z. S. B. W. Patrzyło nań stołeczne miasto Wilno, gdzie podczas wjazdu dwóch panów Paców — jednego na biskupstwo, drugiego na województwo wileńskie — zaproszeni byli na procesję wszyscy zakonnicy, by szli w niej w porządku. Nam bazylianom, jako pierwszemu zakonowi, przypadała z dawnego prawa, precedencja kroczyć tuż za łacińskim świeckim klerem. Sprzeciwili się temu dominikanie. Napewno nie mieli innej racji, jako tę, że są łacinnikami, więc powinni mieć pierwszeństwo przed obrządkiem greckim. Doszło do tego, że bazylianie, wraz ze swym arcybiskupem, już byli gotowi zdjąć z siebie szaty cerkiewne i wrócić do klasztoru, o ile dominikanie zażądają stanąć przed bazylianami. W końcu jednak, za interwencją samego biskupa wileńskiego, który wówczas odbywał ingres na biskupstwo, stanęło na tem, że szli parami — jeden dominikanin a drugi bazylianin. — ...Nie było pięk-

Jeżeli zaś będziemy szukać w Targach treści głębszej, a zwłaszcza gospodarczej — w sensie znaczenia ich dla kraju — to ocena nie wypadnie tak pomyślnie. Cała „impresa” Targów robi jednak wrażenie czegoś sztucznego, co ani ekonomicznie ani organizacyjnie nie jest zespolone ani z Wilnem ani, tembardziej z całym krajem. Poczynając od nazwy a kończąc na technice urządzenia tracą one imitacją Targów Wschodnich — we Lwowie. O samej nazwie można powiedzieć, że „adno piszetsia, a drugoje czytajetsia”. Bo poco „Targami” nazywać to, co nie ma nic wspólnego z targiem, a właściwie z obrotami handlowym? Żadnych transakcyj (po za drobnicową sprzedażą, uprawianą przez niektóre drugorzędne miejscowe i przyjezdne firmy) — wszak nie odbywa się. Właściwie jest to raczej żywa reklama. Firmy stawiają swoje kioski lub urządzają stoiska w celach reklamowych — odwiedzająca publiczność ogląda eksponaty, dowiaduje się o firmach, przemysłowych, czy handlowych (w wyjątkowych wypadkach robią się zamówienia) — ale niema tu tego, co targi mieć muszą — obrotów handlowych. Nie negujemy pewnej korzyści, osiągananej, zarówno przez wystawców, jak i zwiedzających — lecz narazie chodzi nam o stwierdzenie, że nazwa „Targów” zupełnie nie odpowiada treści. Różnorodna zbieranina i pewna bezplanowość nie kwalifikuje tej imprezy do nazwy wystawy, która ma zwykle określony cel, a głównie pewną określoną planowość. Tu mamy do czynienia z wybitną bezplanowością i przypadkowością co do wystawców. Raczej pasowałaby tu nazwa jarmarku, czy (jak ktoś nazwał) kiermaszu i to nie północnego a poprostu wileńskiego, gdyż nazwa „wileński” dokładniej określa jego geografikę, niż nazwa „północny”, która jest zbyt rozciąglą.

Optymiści tłumaczą, że choć istotnie nazwa dziś nie jest stosowna, ale w niedługim czasie — gdy „jeszcze bardziej” konjunktura się poprawi — Targi naprawdę staną się targami, obfitującymi w obroty i t.p. Te horoskopy nie wyglądają jednak realnie, bo w powstających warunkach ekonomicznych typ „targów” nie ma wogóle przyszłości, a Wilno obecne ma tak mało warunków do stania się ośrodkiem większego handlowego zainteresowania, że naprawdę za długo na usprawiedliwienie tej nazwy trzeba byłoby czekać.

Widocznie jednak co do znaczenia i perspektyw Targów Północnych panuje odmienna opinia, w sferach rządzących, które udzieliły tegorocznym Targom tak wiele uwagi. Albowiem na otwarcie Targów tegorocznych i Wystawy Lniarskiej przybyło do Wilna liczne grono ministrów (niemal 50% rządu) z premierem Jędrzejewiczem na czele. Naturalnie, że taki udział rządu (chociażby bezinteresowny, to znaczy bez brzęczącej pomocy) nadał Targom pewną markę. To zareklamowało nieco Targi nazewnątrz.

*

Ale mówimy tylko o Targach, zapominając, że to były nie tylko Targi Północne, lecz i Wystawa Lniarska. A trzeba przyznać, że ta Wystawa Lniarska, ciasno rozmieszczona w jednym pawilonie, stanowiła być może główną atrakcję Targów tegorocznych, gdyż bez tej Wystawy Targi wcale mizernieby wyglądały. Wystawa Lniarska stanowiła dział, doskonale pod względem technicznym i celowo zorganizowany. Była ona emanacją tak zwanej „akcji lniarskiej”, która się w Wilnie narodziła, a niemałego po całej Polsce huczku narobiła.

*

Nie tyle ważnym, ile interesującym i wesołym działem Targów była dział drobiarski, właściwie wystawa. Najbardziej w tym dziale było tłoczno i krzykliwie. Najwięcej tu było rozdano medali i największy oddźwięk miał ten dział w prasie, a zwłaszcza w „Słowie”. Tu również (t. j. na wystawie drobiu) można było obserwować kulturę zwiedzających, którzy, gdyby nie kraty klatek, skłonni byłiby żywcem oprawić „zwierzęta futerkowe”, powyduszać króliki i powyskubywać wystawione ptactwo. W tem wyrażało się upodobanie i zamiłowanie.

*

Był też na Targach pawilon rybacki, a bezpośrednio przy nim restauracja. Pawilon urządzony był „statystycznie”, czyli eksponaty ...w cyfrach. Natomiast restauracja (zresztą niechlujnie prowadzona) miała na celu, oprócz zaspokojenia apetytów publiczności, propagandę spożycia ryby „na świeżo”, co restauratorzy zrozumieli w ten sposób, że literalnie żywą rybę patroszono i ćwiartowano niemal na oczach wyczekujących konsumentów.

*

niejszej unji, jak wtedy, gdy dwa zakony pomieszały się ze sobą!”

Za właściwą przyczynę poniżenia Cerkwi greckat. w dawnej Rzeczypospolitej o. K. uważa niedopuszczenie jej władcy do senatu. „I jeżeli w Polsce bywali Żydzi, jakim dawano tytuł radców Najjaśniejszego Pana, czemuż biskup grecki nie ma być w rządzie senatorów i pisać się radcą Jego Królewskiej Mości? Czemu z Rusi ludzie świeccy (choć ich nazywano schyzmatykami) bywali senatorami, wojewodami, a biskup grecki nie może być senatorem, chociaż katolik, bo unita?..” O. K. nie zamilcza niczego. Piszę o Polakach, że „oni chcieliby (w swej niewytłumaczonej nienawiści), by Rusi jak najprędzej nie było. A że to nie może się stać, chyba aż po zniszczeniu obrządku, to prześladowają obrządek grecki na każdym kroku”. A jaką uprawiano demagogię antiruską i antiunicką po ówczesnych szkołach polskich! „Posłuchać w szkołach, jak łacińską młodzież podburza się przeciw narodowi ruskiemu, jak się tam wyszydza z samychże unitów. Gdy chcą się pośmiać, to nad Rusinami. Przezywają

ich „kobuśnikami” tak że nie jeden, uciekając przed wyszydzeniem, musiał porzucić szkoły... A co za bluźnierstwa sypią się na nabożeństwo! Nie nazywają inaczej cerkwi, jak bożnicą; jak się zdarzy, to i z szat cerkiewnych, podczas odgrywanych komedij, robią śmiechy; na ulicach widząc duchownych, krzyczą *Hospodi pomiluj* i nazywają ich chłopami, ciskają węń kamieniami. A to wszystko — piękny owoc nauki szkolnej”. Wobec powyższego, ktoby tam zważał, że uczęszczający do szkół polskich Rusini przymuszani bywają chodzić do kościołów łacińskich, co prowadziło nieraz w końcu do zmiany obrządku. „Wreszcie, by Ruś stawała się Polską, cerkwie u niej odbierano na kościoły”, Trudno się dziwić, że z pod pióra o. K. zrywały się czasem określenia, takie, jak „piekielny ucisk”.

O. K. widział dobrze stan rzeczy w Wilnie i naogół na Białorusi. Oto ubolewa, że archimandrja bazylikańska w Trokach leżała spustoszona, bo jej dobra kto inny zagarnął pod swą władzę... „Wileńskiemu klasztorowi św. Trójcy odebrano w czasach niedawnych majątek Spiekło”. Komisje śledcze, na-

Zwiedzających było dużo. Podobno Targi zarobiły. A nieoficjalnym gospodarzem Targów jest Magistrat. Przybyło dużo osób z prowincji. Widziało się liczne wycieczki wieśniaków, którzy wyróżniali się wśród publiczności nie tylko wyglądem i ubiorami, lecz i zachowaniem się poprawnym. Było też sporo osób i z poza Wileńszczyzny — przeważnie zbiorowe wycieczki, najwięcej młodzieży. Istną plagą dla zwiedzających były wycieczki wileńskich szkół. Waliło tego w pewnych godzinach tak dużo i tak opanowywało to teren Targów, że inni zwiedzający nie mieli możliwości już spokojnie zwiedzać i oglądać wystawy.

Widz.

Len.

III Targi Północne zostały w tym roku zorganizowane pod hasłem samowystarczalności w dziedzinie Injarskiej. Ustawiono wprawdzie szereg innych pawilonów z najrozmaitszych gałęzi przemysłu, nie zapomniano też o wystawie hodowlanej. Wszystko to jednak poza lenem nosi na sobie wyraźne piętno kryzysu, gdy tymczasem pawilony Injarskie przedstawiają się świetnie. Zainteresowany może tu przestudjować historię lnu, uprawę jego, gatunki, Injarski przemysł fabryczny i znaczenie lnu wogóle. Wszystko tu jest celowe i dobrze przemyślane. Zastrzeżenie tylko może budzić odosobniony eksponat szczególny, przedstawiający zawieszoną na szubienicy kukłę wielkości człowieka, przybraną w materję bawełnianą. Miał to podobno być symbolem śmierci przywozowego surowca bawełny. Tymczasem złośliwi komentowali, że jest to eksponat... ministerstwa sprawiedliwości.

Zadaniem wystawy Injarskiej jest z jednej strony zachęcić i nauczyć uprawiać len a stworzyć popyt na wyroby lniane z drugiej. Charakterystycznym zjawiskiem jest, że cała ta impreza lniana została potraktowana przez organizatorów jako próba „oderwania się od kryzysu”, przyczem nie brak danych wskazujących na to, że ziemie białorusko litewskie zaczynają być rozumiane coraz bardziej, jako odrębna całość, wymagająca odrębnej polityki ekonomicznej.

Kto nie obserwował życia wsi naszej, temu oczywiście może się wydawać, że ostatnimi czasy dopiero odkryto zdolność gleby naszej do produkcji lnu, wśród ludności wielkie zamięłowanie i umiejętność sztuki tkackiej oraz możliwość rozwoju produkcji lnu i tkactwa, mogącego zatrudnić znaczny procent ludności, stać się dla niej wielką pozycją dochodową. Ameryki tu, rzecz prosta, nie odkryto. A „śpiąca królewna”, o której mówii pisze p. generał Żeligowski, nie była na wsi znowuż tak pogrążoną we śnie i nieznana. Wieś nasza od niepamiętnych czasów doskonale sobie dawała radę bez fabrycznych towarów bawełnianych. Późniejszy zalew rynku wszelaką tandetą fabryczną nie był zdolny całkowicie wyprzeć samodziółów z przyczyn następujących: 1) na wsi zawsze odczuwał się brak siły nabywczej na towary, 2) kobieta wiejska mało bierze w rachubę czas poświęcony na przedziwo w zimowe długie wieczory, ponieważ czas ten nie byłby inaczej wykorzystany. Samodzióły wiejskie doniedawna były w mieście zjawiskiem dość rzadkiem pomimo niezwykłe ich niskich cen. Za kilka złotych można było nabyć na rynku dywan z grubych nici lnianych tkany w najrozmaitsze prześliczne desenie. Jest rzeczą zrozumiałą, że ta niska cena nie odpowiada jednej piątej wartości sprzedawanej tkaniny, jeżeli się weźmie pod uwagę ilość ręcznej pracy przy produkcji, poczynając od siania lnu a skończywszy na przywiezieniu do miasta jako towaru. Nic dziwnego, że wieśniacy sprzedawali samodzióły niechętnie i tylko z konieczności. Sprzedaż nie kalkulowała się a i popyt był minimalny.

Stosunek miasta do samodziółów nie pozabawiony był rysów charakteryzujących stosunek mieszczanina do chłopca. Napotkanie w salonie miejskim samodziółowego dywanu o deseniach białoruskich lub litewskich, nie należało do dobrego tonu, co gorzej, mogło świadczyć o świeżem wychodźstwie właściciela mieszkania ze wsi, co w pojęciu kołtuństwa wileńskiego należało ukrywać jako objaw pewnej niższości. Tak więc tkaniny wiejskie nie miały powodzenia w mieście, zresztą w myśl przysłowia: „cudze chwalicie, swego nie znacie”.

Trzeba było aż wielkich wstrząsów społecznych, politycznych i ekonomicznych, trzeba było napływu

wet mianowane przez Rzym, nic prawie nie mogły wskórac na miejscu. Tak też podobnie się działo w arcybiskupstwach połockim i smoleńskim, jak też biskupstwie pińskim i in., więc, rzecz można, na całej Białorusi.

Różąc prawdę w oczy przeciwnikom i wrogom Cerkwi gr. kat., o. K. doskonale też widział mało duszność, z jaką ówczesni bazyłjanie nieraz upodobnić się chcieli zewnątrz do konfratrów obrządku łacińskiego. „Czy tak chodził św. Bazyli?” woła do nich o. K. i przytacza, że sami łacinnicy księża, widząc pińskiego władcy Białozora w łacińskiej kołeratce, mantolecie fioletowym i z białą chustką na szyi, śmieli się wydziewać sobie: „ni Lach; ni Rusini!” Wracający ze studjów rzymskich do kraju młodzi bazyłjanie lubili nieraz tytułować się z włoska: *Don Pietro, Don Simeone*.

Napomknąwszy o klasztorze bazyłjańskim w Beżewczu, który posiadał poddanych 300, a zakonników... 3, przyczem cały zeń dochód zabierał metropolita, o. K. dłużej zatrzymuje się nad znanym bazyłjańskim klasztorem św. św. Borysa i Gleba na

Kołoży pod Grodnem. Dajmy głos o. K. „A w Grodnie? Był tam sławny monaster, z tytułem archimandryi. Teraz niema śladu najmniejszego celi klasztornych. Cerkiew od lat kilkudziesięciu stoi pusta i zamknięta. Tylko wróble wyśpiewują w niej swem świerkaniem chwałę Bogu. Należy do tej archimandryi 300 poddanych. Używa ich pisarz W. Ks. L., pan Sokoliński, zabierając wszystkie dochody, nawet kury, gęsi, ćwiartki baranie przyjmuje on w ofierze, gdy ludzie z całej okolicy, według domowego zwyczaju, przynoszą mu raz do roku. A sam właściciel archimandryi, rodzony brat tego pisarza, będąc arcybiskupem smoleńskim, mieszka aż w klasztorze pustynskim, również pustym...”

A jak było gdzieindziej? „Nie wolno zapomnieć o sławnej archimandryi Kobryńskiej; w niej — Bóg aże świadkiem — ani jednego niema zakonnika. Liturgia odprawia się raz na rok podczas odpustu. Na folwarku mieszka tam świecki pop Kaczyński”. Władca włodzimierski Zaleński był zapalonym myśliwym, utrzymującym ogromną psiarnię i rozjeżdżającym wciąż z trąbką myśliwską na ramieniu... Pod takim

na nasze ziemie koroniarzy i galileuszy, którzy nie widząc u siebie tkanin podobnych, pomimo uprzedzenia do naszego chłopu, orzekli, że samodziąły Wileńszczyzny, chociaż są w swoich barwach smutne jak ziemia i ludzie, którzy je robią, zawierają jednak w sobie nieprzebrane bogactwo pomysłów rysunkowych tak charakterystycznych dla tych ziem oraz taką harmonję w kolorach, że naprzykład jaskrawe łowickie pasiaki wyglądają przy nich całkiem pospolicie. Do tych względów natury estetycznej, przy kryzysie, braku na wsi zarobków, doszedł jeszcze wzgląd czysto ekonomiczny. Przewidywać poczęto zyski z uprawy lnu i wzmocnienie handlu tkaninami między wsią a miastem. Zrodziła się propaganda lniarska pokierowana już, jak się zdaje, przez ludzi miejscowych. Koroną jej są obecne Targi.

Do jakich ostatecznych wyników doprowadzić może ta propaganda — przewidzieć trudno. Rozwój lniarstwa należy bowiem uważać za problem dość skomplikowany. Chodząc po wystawie trudno zorientować się jakie jest stanowisko organizatorów pawilonów lniarskich *do tkactwa wiejskiego*. Należy przypuszczać, że rozwój przemysłu lniarskiego w fabrykach, wywołany przez popyt na tkaniny lniane w mieście, musi doprowadzić do zaniku domowego tkactwa, ponieważ praca ręczna na małym warsztacie ostatecznie nie wytrzyma konkurencji z maszyną fabryczną. Czyżby to było w interesie producentów dzisiejszych kilimów i płótna wiejskiego? Prawda, może powstać nowe źródło dochodu dzięki zasiewaniu większego obszaru lnem i sprzedaży surowca do fabryki, lecz czy małorolny chłop może powiększyć obszar tego zasiewu i czy będzie mu kalkulowało się zasianie małego obszaru lnem kosztem pomniejszenia terenów pod żyto czy kartofle? I gdy, nareszcie, w braku u nas przemysłu włókienniczego, surowiec z naszych ziem będzie zatrudniał robotników łódzkich, a dochód z tego wszystkiego będą czerpać kapitaliści zorganizowani w rozmaite koncerny, czy i wtedy będziemy entuzjastami propagandy lniarskiej i będziemy paradować w lnianych sukniach i kostjumach, uszytych według najnowszych paryskich żurnali mód?

Temi pytaniami, zdaje się, nikt sobie nie zaprząta głowy. Czyby nie należało nad nimi się

trochę zastanowić naszym ekonomistom, pragnącym „oderwać się od kryzysu”?
Step.

Braki i możliwości rzemiosła wileńskiego.

Źródłowe dane poniższe czerpiemy z referatu dyr. Wil. Izby Rzemieślniczej p. K. Młynarczyka p. t. „Zagadnienie aktywizacji produkcji rzemieślniczej”.

Dla zobrazowania całokształtu zdolności produkcyjnej rzemiosła wileńskiego należy kolejno omówić specjalnie zasługujące na uwagę zawody rzemieślnicze.

Garncarstwo liczy w Wileńszczyźnie 45 warsztatów, które pracują wyłącznie dla zaspokojenia potrzeb lokalnych. Aczkolwiek rzemieślnicy garncarze posiadają bardzo wysokie kwalifikacje zawodowe i zdolności artystyczne, to jednak obniżenie produkcji spowodowało znaczne bezrobocie w tym zawodzie. Wpłynął na to brak miejscowego surowca, oraz brak rynków zbytu. Surowiec sprowadza się dotychczas z województwa poznańskiego, a tymczasem w Wileńszczyźnie znajdują się nieznane nikomu bogate pokłady gliny, które mogłyby dostarczyć w każdej ilości surowca dla potrzeb garncarstwa.

Bednarstwo liczące 29 warsztatów ma specjalnie pomyślnie warunki rozwojowe. Poza produkcją naczyń drewnianych (gospodarskich), które zaspokajają potrzeby lokalne, bednarze wileńscy wyrabiają beczki do piwa, miodu, wina i t. d. W związku z częściowym zniesieniem prohibicji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej aktualna jest sprawa eksportu beczek do piwa. Zapotrzebowanie jest bardzo duże i towar ten może być nabywany w każdej ilości. Zorganizowanie eksportu beczek na szerszą skalę natrafia jednak na poważne trudności, a to ze względu na prymitywne urządzenia warsztatów bednarskich oraz wysokie koszty produkcji. Na cenę wyrobów bednarskich (beczek) w dużym stopniu wpływa wysoka cena na bindrę (surowiec na klepki). Niezrozumiałem jest stanowisko Dyrekcji Lasów Państwowych, która dotychczas cen na surowcu nie obniżyła, pomimo starań i interwencji odpowiednich czynników gospodarczych.

przewodem inaczej działać się nie mogło. — „Jest i w Nowogródku Litewskim monaster, ten niegdyś słynął ze szkół i nauk. Dziś mieszka tam dwóch zakonników bez utrzymania. Liturgia bywa chyba tylko w niedzielę. Wszyscy ludzie w całym miasteczku zwrócili się do jezuitów i, zmieniawszy obrządek, stali się rzymsko katolikami, bo Jego Miłość (metropolita) Kolenda darował jezuitom na kościół cerkiew, którą oni z Ruty, oddalonej o trzy mile, przywiezli. A w Rucie chłopci cerkwi nie mają, lecz chodzą na liturgję gdzieindziej o całą milę”. Krzyżący stan rzeczy! Podobnie było z archimandryją wileńską, którą trzymał władca Białozor i skąd zabierał cały, b. duży dochód. Tymczasem „mieszkali tam osiem czerniców. Bardzo to mało na takie miasto, bo dawniej było tam mnichów 40 i mieli dostateczne środki do przeżycia. Dziś tak być nie może, gdy utrzymuje ich jałmużna z pogrzebowego i rzadkiej ofiary”. W opłakanym stanie była też podówczas archimandryja leszczyńska pod Pińskiem, chociaż dla piękna swego położenia i bogactwa okolicy, istnieć jakoby złote. Władał nią i w niej często prze-

bywał metropolita kijowski Tukalski, ale podczas bezkrólewia, po abdykacji Jana Kazimierza, w drodze zbrojnego napadu, zawładnął nią metropolita Żochowski. Niedługo potem trafiła archimandryja ta w ręce polskie. Doszło zaniedbanie jej wtedy do tego, że cerkiew stała pusta, gnieździło się w niej ptactwo, a nad wielkim ołtarzem był gołębnik, skąd pomiot padał prosto na prestoł... Gdy cerkiew ta wróciła znowu w ręce duchowne, niedbały a stary paroch używał jej za magazyn do przechowywania grochu, sadła i innych zapasów. Latem tu nie było mszy św...

Trudno było nuncjuszom i legatom papieskim poradzić sobie w sytuacji tak beznadziejnej. O stosunku niektórych władcyków do nuncjusza świadczyć może niewybredny dowcip powtarzanego przy kielichu wina przez władkę Zaleńskiego wierszyka z aluzją do nazwiska i tytułu legata.

E! Opitius — kiepitius

Pallavicinus Archiepiscopus Ephesus

Biskup wedle wiciny...

poczem dodawał: „a ja szlachcic, biskup nie przy

Ciesielstwo reprezentowane w Wileńszczyźnie odczuwa bezrobocie wskutek zastoju ruchu budowlanego. Ruch ten możnaby było ożywić przez obniżenie kosztów budowy.

W Wileńszczyźnie znajdują się liczne tereny lotnych piasków specjalnie nadających się na plantacje wikliny, głównego z surowców dla potrzeb rzemiosła koszykarskiego. Rolnictwo winno bezsprzecznie zwrócić uwagę na wykorzystanie możliwości zakładania plantacji wikliny, tembardziej, iż zbiory wikliny z jednego ha przekraczają wartość 1.000 zł. Dotychczas plantacje te znajdują się w bardzo małej ilości na terenie Wileńszczyzny i potrzebny surowiec przeważnie sprowadza się z innych dzielnic Polski, a nawet zza granicy.

Stolarstwo jako najliczeniejszy zawód w grupie drzewnej liczy—784 warsztaty. Wyroby stolarskie znane były jeszcze przed wojną na dalekich rynkach rosyjskich. W okresie powojennym utracone zostały te rynki zbytu i wyroby powyższe, aczkolwiek są pierwszorzędnej jakości, produkowane są jedynie na potrzeby rynku krajowego. Stolarstwo posiada bardzo wysoką zdolność produkcyjną i dlatego też nasuwa się konieczność rozszerzania rynków zbytu na państwa obce.

Głównym ośrodkiem produkcji instrumentów muzycznych jest Wilno, które posiada 18 warsztatów tego typu. Produkcja ta jest jednak jeszcze w zarodku, a to ze względu na brak odpowiednich urządzeń technicznych. Większość instrumentów jak pianina, instrumenty strunne, harmonje sprowadza się z zagranicy, przeważnie z Włoch i Czechosłowacji.

Poważne widoki rozwoju posiada powroźnictwo, liczące na terenie województwa wileńskiego 17 warsztatów. Wyroby powroźnicze, jak sznury, liny i t. d. sprowadzamy przeważnie z innych dzielnic Polski, a nawet zza granicy. Tembardziej konieczne jest zwiększenie i racjonalizowanie produkcji powroźniczej na naszym terenie, gdyż posiadamy pod dostatkiem pierwszorzędny surowiec, jak len i konopie.

Szczotkarstwo liczy 14 warsztatów. Państwa zagraniczne interesują się wyrobami ze szczeciny i włosu końskiego — niestety odczuwa się brak inicjatywy i pewne trudności przy zorganizowaniu eksportu wyrobów szczotkarskich. Wpływa na to w pewnym

stopniu wysoka cena surowca, który sprowadzamy przeważnie z innych dzielnic Polski. Surowiec miejscowy, jak szczecina i włosy końskie marnuje się, gdyż w Wileńszczyźnie przyjęty został zwyczaj smalenia wieprzy po zabiciu, zaś hodowcy koni nie doceniają wartości włosa końskiego.

Kowalstwo, liczące 1204 warsztaty, jest zawodem ściśle związanym z rolnictwem. W tym zawodzie więcej może niż w innych odczuwa się konieczność wyszkolenia rzemieślników. Naprawa narzędzi rolniczych przeważnie dość skomplikowanych, jak również wytwarzanie nowych narzędzi wymaga wielkiej znajomości tego fachu. Większość kowali, a szczególnie wiejskich cechuje brak postępu, nieznajomość technicznych udoskonaleń i brak inicjatywy.

W zawodzie kowalskim szczególnie odczuwa się brak wykwalifikowanych podkuwaczy koni. Cierpi na tem przeważnie rolnictwo, albowiem wadliwie podkuty koń ma zepsute kopyta i wartość jego na rynku wewnętrznym znacznie obniża się.

Rzeźnictwo i wędliniarstwo liczące 1101 warsztatów, niezmiernie prymitywnie urządzonych, odczuwa szereg niedociągnięć i bolączek. Najważniejszą bodajże rzeczą jest marnowanie skór przez nieumiejętne ich zdejmowanie. Skóry bydłace na tutejszym terenie są w dobrym gatunku, ale przez złe zdjęcie wartość ich obniża się prawie o 50% i uniemożliwia eksport. Hodowcy bydła nie troszczą się o należyty stan skór, nie starają się czyścić i myć bydła i dlatego też prawie 80% skór jest podziurawionych przez gzę. Pomimo tego, iż posiadamy dużo własnego surowca, jednak ze względu na jego zły stan i konserwację, większość skór sprowadza się z zagranicy.

Stan ten jest nienormalny i winien ulec daleko idącym zmianom.

Poza skórą Wileńszczyzna ma poważne widoki wywozu zagranicę słoniny i wyrobów wędliniarskich. Obecna rasa świń hodowana przez rolników nie odpowiada jednak jakości wyrobów wędliniarskich, żądanych zagranicą i dlatego też zorganizowanie eksportu może nastąpić pod warunkiem hodowli bardziej szlachetnej rasy świń.

Prymitywne urządzenia rzeźni wyrządzają również ogromne szkody rolnictwu i rzeźnictwu. Brak chłodni i nowoczesnych urządzeń nie pozwala wy-

„wicie”, lecz przy trawie, t. j. aktualny, w posiadaniu biskupstwa”.

Rzecz znamienna, że genjalna kłamczyni pseudo bazylianka Makryna Mieczysławska miała już w końcu XVII w. wcale zdolną sobie poprzedniczkę, która również była bodaj z Wilna i nosiła nazwisko Herburtówny. Wprost zdumiewająco uderzające jest podobieństwo losów obu! Ostro ją trzymał o. Busiński — bazylijanin, skoro nazywał „jakąś małpą”, „klempą”. Zabił ją na krótko w Rzymie, by rychło zejść w pogardzie zapomnienia.

Rozumie się, o. K. nieraz wspomina znane na Białorusi klasztory, jak Żyrowicki, Byteński, Brzeski, Miński, Braślawski, Połocki, Torokański, ale nawet streszczać to, co o nich mówi, byłoby dla nas przydługiem. Odsyłamy chętnych a ciekawych do oryginału.

Znany już nam z poprzedniego władca Białozor uczynił też najazd na wileński klasztor św. Trójcy, gdzie jednych mnichów rozpedził, innych wrzucił do ciężkiego więzienia. Jak bezwzględnie postąpił, widać stąd, że uciekali podczas najazdu nadzy.

Szczególnie dużo ciekawych danych podaje list o. K. o życiu wewnętrznym klasztoru bazylijskiego w Żyrowicach. Są to nieraz pierwszorzędne przyczynki obyczajowe do życia naszych klasztorów na przełomie w.w. XVII i XIII. Nie brak tu najmniejszych szczegółów nawet dotyczących kuchni.

Znamiennie, że już w końcu w. XVII bazylijanie myśleli o reformie swego zakonu przy pomocy jezuitów. Szkoda, że zakon sam nie mógł przezwyciężyć toczącej jego organizm choroby. Główną temą przeskodą było to, że ówczesni bazylijanie byli w dużej części dezerterami z obrządku łacińskiego i preto nie szanowali dostatecznie obrządku przyjętego. Tak w Wilnie śpiewano tylko trzy razy „tryświatoję”, przyczem wyrzucano z nich słowa: *sława i nuni*. Zbudowano ponadto w Wilnie u św. Trójcy cyborjum i by uczynić je widocznym, nie zawahano się... złamać nieco i tak popsuć carskich wrót. „Jak to tam brzydko, Boże sam widziś”, woła o. K. Zwłaszcza w Żyrowicach widzimy nowinki liturgiczne, a wszak Żyrowice przedewszystkiem winny byłyby stać się macierzystym gniazdem obrządku wschod-

korzystać odpadków na rzeźni jak jelita, krew bydlęcą, żołądki cielęce i t. d. Odpadki te stanowią ogromną wartość i przy odpowiednim urządzeniu rzeźni mogłyby być wysyłane w większych ilościach za granicę.

Białoskórnictwo i garbarstwo reprezentowane jest w Wileńszczyźnie przez 186 warsztatów. Są to zawody mające bardzo pomyślne warunki rozwoju. Dla zwiększenia produkcji białoskórniczej i garbarskiej konieczna jest współpraca rolnictwa. Rozwój hodowli owiec dostarczałby potrzebną ilość surowców, zaś odpowiednio wyszkolone rzesze rzemieślników garbarzy wytworzyłyby z tego surowca futra tak potrzebne dla ludności wiejskiej, a również i miejskiej.

Szewstwo liczące 2.133 warsztaty jest najbardziej rozwiniętym zawodem. Aby produkcję szewską należycie rozwinąć, należałoby zorganizować spółdzielnię, posiadającą szereg sklepów, która miałaby za zadanie konkurować z produkcją „Bata”.

Rzemiosło wileńskie ma duże możliwości wykorzystania naturalnych bogactw Wileńszczyzny. Rozwój jego jest uzależniony w znacznym stopniu od solidarnej pracy przedstawicieli samorządów gospodarczych jak Izby Rzemieślniczej, Przemysłowo-Handlowej i Rolniczej oraz samorządów terytorjalnych.

Taraszkiewicz—Alechnowicz.

D. 7 b. m. na granicy polsko-sowieckiej Bronisław Taraszkiewicz, długoletni więzień polityczny w Polsce, został wymieniony na więźnia sowieckiego, znanego Wilnu literata białoruskiego, Franciszka Alechnowicza. Jak podaje prasa, pertraktacje pomiędzy władzami polskimi a sowieckimi w tej sprawie były prowadzone już od 5-ciu miesięcy.

Wymiana Taraszkiewicza nie była dla nikogo niespodzianką, a już najmniej, prawdopodobnie, dla samego więźnia. Z zachowania się jego w czasie przewodu sądowego, można było łatwo wnioskować, iż na uniewinnienie nie liczy, zresztą o nie nie prosił. Przypuszczano więc ogólnie, że Taraszkiewicz podzieli los większości innych byłych posłów białoruskich.

W ten sposób do grona licznych byłych parlamentarzystów białoruskich, którzy opuścili niewdzięczne pole pracy politycznej w granicach Polski, przybył jeszcze jeden działacz, tym razem najwybitniejszy i najpopularniejszy. Chociaż polityczne credo Taraszkiewicza może budzić poważne zastrzeżenia, to jednak długoletnie więzienie i osobiste zalety Taraszkiewicza sprawiły, że był nie tylko przedmiotem współczucia, ale też niejedna grupa polityczna gotowa była starać się o pozyskanie dla siebie tak wybitnej jednostki. Ukazała się wprawdzie niedawno broszura napastliwa, charakteryzująca Taraszkiewicza jako zdecydowanego komunistę; zdaje się, że, wbrew intencjom autora, broszura ta w pewnej mierze ułatwiła Taraszkiewiczowi wyjazd do Sowiektów. Był to jedyny jej efekt.

Droga, którą przebył Taraszkiewicz w swojej działalności politycznej i poglądach jest ze wszechmiar pouczającą. Od niefortunnych prób współpracy z Polakami, poprzez walkę opozycyjną względem rządów polskich, przychodzi wreszcie do przekonania, że marksizm w interpretacji Lenina jest jedyną doktryną, zdolną przeobrazić świat i udoskonalić go. Nie wchodzimy w to, czy znalazł się Taraszkiewicz na drodze właściwej, warto natomiast podkreślić, że jego stopniowa metamorfoza nie jest faktem osobnym pośród działaczy białoruskich w granicach Polski. Droga Taraszkiewicza, dzięki polityce narodowościowej u nas, coraz bardziej staje się bitym gościńcem dla Białorusina. Polityka ta właśnie doprowadziła Taraszkiewicza z obozu radykalizujących polonofilów do obozu wiernych wyznawców doktryny komunistycznej. Ewolucja trwała przez szereg lat i jest, jak można sądzić z przemówień Taraszkiewicza w sądzie, produktem jego głębokich przemyśleń i dociekań nad zagadnieniami społecznymi. To też nie można chyba stawiać zarzutu, że Taraszkiewicz nie był w zgodzie ze sobą i uprawiał modne dziś łamańce ideologiczne dla kariery. Wyjazd Taraszkiewicza potwierdził powyższe fakty, które przedtem mogły być jedynie domysłami, przypuszczeniami.

O ile wyjazd Taraszkiewicza nikogo nie zadziwił, o tyle wymiana jego na Alechnowicza wszystkich zaskoczyła. Jaka ironja losu! Dawni starzy przyjaciele stanęli przy słupach granicznych, jako przed-

niego na całej Białorusi i Litwie. Zdarzali się bazylijanie i to na stanowiskach wręcz wybitnych, którzy po rusku czytać nie umieli, przeto używali Służbenika przepisanego literami polskimi. „Ruskim językiem tak się brzydzą, że w całej unji nie usłyszysz ruskiego kazania”, poczem o. K. pisze: „Wszyscy mówią po unijacku”. Jak się okazuje z kontekstu, tak właśnie o. K. nazywa język białoruski, bo przytaczają szereg poprawnych zwrotów białoruskich, jak np. *pajdzi k waknu, wiecier, dzierewo, budzie* i t. d. Tak dobrze jednak nie było. Nigdy nie uwierzmy, by ówczesni bazylijanie wszyscy mieli używać tej unijackiej, czytaj białoruskiej, mowy. Używał jej powszechnie lud białoruski, tak, ale nie jego duszpasterze, chyba b. wyjątkowo. Nigdyby ludność białoruska nie uległa takiej polonizacji, jeśliby nie narzucano w cerkwi zgóry — świadomie lub nieświadomie, to rzeczy nie zmienia — polszczyznę (kazania, litanje, pieśni).

W ciekawych dołączonych przez Szczurata przypisach-przyczynkach znajdujemy autentyczny opis

wydania przez łacinników unitom cerkwi gr.-kat. w m. Tylicze (diecezja przemyskiej) Tragizm ponury tego zajścia i jemu podobnych ciąży dotąd na stosunkach międzyobrzędkowych i polsko-ukraińsko-białoruskich. Co się stało w Tyliczach, było pospolitą zbrodnią, wołającą o pomstę do Boga. Każdy uczciwy Polak winien rumienić się ze wstydu na jedno wspomnienie Tylicz, gdzie wkońcu cerkiew gr.-kat. zdemolowano, by nikt jej nie miał. A zaborcza polityka biskupa krakowskiego Jakuba Zadzikę, księcia Siewierskiego, względem obrządku gr.-kat. i narodu ruskiego?

Pokrótkie tu omówiony list o. Kamińskiego, naświetla bezzasadność lub obłudę tych, co niepomni przeszłości cerkwi gr.-kat. na ziemiach białoruskich, umieją tylko utyskiwać na jej słabość, dla której sami przecież w osobie swych przodków pracowali, nie pokładając rąk, przez kilka wieków.

stawiciele wrogich sobie kierunków politycznych. I obydwaj uzyskali wolność po kilkuletnim więzieniu—jednocześnie...

Do chwili obecnej przyzwyczailiśmy się widzieć na miejscu Alechnowicza więzionych księży, patryjotów i działaczy polskich. Po raz pierwszy wraca tą drogą z Sowietów Białorusin. Ciężki niewątpliwie był los Alechnowicza na wyspach Sołowieckich i trudno się dziwić, że pragnął on wydobyć się z tego piekła i powrócić do rodzinnego Wilna za wszelką cenę. W miejscowych kołach białoruskich jednakże powrót jego wywołał liczne komentarze.

Alechnowicz nigdy nie był działaczem politycznym. Jest to typowy literat, który nawet w swoich dziełach nie poruszał tematów politycznych. Przez jakiś wypadek czy nieporozumienie przyklejono mu w Sowietach etykietę polityka, a przez wymianę na Taraszkiewicza za zgodą rządu polskiego etykieta ta jeszcze mocniej doń przywarła i to o specjalnem zabarwieniu. Czy słusznie? Czas to pokaże.

Bądź co bądź społeczeństwu białoruskiemu przybyła nowa siła, którą będzie mogło ono wykorzystać na polu pracy kulturalnej szczególnie w dziedzinie teatru białoruskiego. Praca ta jednak mogłaby się rozwinąć tylko w tym wypadku, gdyby sfery rządzące zamiast zadowalać się rzucaniem nędznych okruszyn na „odczepnego” — zdobyły się na wydatną i szczerą pomoc dla pracy kulturalno-oświatowej na wsi białoruskiej w języku ojczystym. Ale na to nie zanosi się.

Przypuszczać zresztą należy, że z trudnych warunków pracy na rodzinnym zagonie sam Alechnowicz zdawał sobie doskonale sprawę i to, co zastał tu, nie było dlań niespodzianką.

S-wicz.

W ognie.

W końcu ubiegłego miesiąca odbyło się w lokalu Wil. Banku Ziemskiego w Wilnie zebranie dyskusyjne, zwołane przez Organizację Zachowawczą Pracy Państwowej. Z natury rzeczy dominowali na niem przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej z książętami i hrabiami na czele. Tematem dyskusji była głośna koncepcja pułk. Sławka, dotycząca reorganizacji Senatu.

Jak było do przewidzenia, wszyscy niemal uczestnicy zebrania wypowiedzieli się gorąco za projektem pułk. Sławka, a na zakończenie dyskusji przewodniczący senator Skirmunt sformułował opinię zebranych w lapidarnej uchwale: „Zasady reformy konstytucji, ogłoszone przez pułk. Sławka, zebranie uważa za zdrowe i skuteczne i reformę konstytucji na tych podstawach za pożądane”.

Jeden tylko nieprzejednany stary żubr, z gatunku wymierających, p. Stanisław Wańkowicz nie podzielał entuzjazmu swych przyjaciół politycznych. Zamiast elity „bohaterów narodowych” wołałby on widzieć w senacie grono wybrańców, obdarzonych grubym cenzusem majątkowym.

Niewątpliwie większość zebranych w głębi duszy najzupełniej podzielała pogląd konsekwentnego reprezentanta interesów klas posiadających, jednakże nie uważała za wskazane solidaryzować się jawnie z tak doktrynerskim stanowiskiem, zdając sobie sprawę z tego, że byłoby to tylko czczą manifestacją, pozbawioną wszelkiego realnego znaczenia

mogącą natomiast ściągnąć na jej uczestników nie-laskę sfer decydujących.

Volens nolens trzeba było aprobować projekt rządowy, bo wszelka fronda mogłaby odbić się fatalnie na losie nierozważnych malkontentów, utrzymujących się dotąd na powierzchni tylko dzięki rzu-
canym łaskawie przez rząd kołom ratunkowym. Tembardziej, że projekt bądź co bądź ma charakter kompromisowy.

Wybory do Sejmu z r. 1927 i 1930 odbywały się pod hasłem rewizji konstytucji. Nie było sprawy ważniejszej, niż zmiana konstytucji. Pisano, debatowano bez końca, by wreszcie skończyć na przekreśleniu dawnego projektu i wysunięciu nowego działu w postaci zmilitaryzowanego Senatu. Wycofanie się z pierwotnego projektu reformy konstytucji, która miała być uniwersalnym lekarstwem na wszystkie braki i dolegliwości we współczesnym życiu państwowym, to najbardziej widoczny jaskrawy objaw niemocy obozu sanacyjnego. Źródłem tej niemocy są przeciwieństwa klasowe Bloku Bezpartyjnego.

Inaczej zresztą być nie mogło. Trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek poważniejszą uchwałę BB., która by nie godziła w interesy tej czy innej grupy bloku. Cóż mówić o tak zasadniczej kwestji, jak rewizja ustroju państwa! By niemoc BB nie raziła nazewnątrz i nie podkopywała jego autorytetu, ostatnimi czasy coraz rzadziej dotykano drażliwej kwestji nowej konstytucji i wyraźnie zwlekano z przekazaniem jej pod obrady sejmowe. Ale trudno było, przejść nad nią do porządku dziennego całkowicie. Ktoś wreszcie wpadł na pomysł reformy Senatu, który sankcjonował i poparł swym autorytetem pułk. Sławek.

Projekt pułk. Sławka to owoc kompromisu w łonie Bloku. Elita orderowa ma pogodzić sprzeczne interesy lewicy i prawicy, a jednocześnie zadowolnić coraz bardziej wzrastające tendencje nacjonalistyczne wśród senatorów. Czyż w tych warunkach obszarnicy wileńscy mogli się przeciwstawić naciskowi zgóry, chociażby widzieli jasno, że w środowisku ziemiańskim kawalerów odznaki Niepodległości, stanowiących główną masę przyszłych wyborców do Senatu, można policzyć na palcach?

Z wielkiem prawdopodobieństwem można przypuszczać, że, gdyby rząd uznał za potrzebne poczynić takie lub inne ustępstwa na rzecz coraz bardziej wzmagających się prądów radykalnych, to nawet i w tym wypadku „Słowo” rzuciłoby hasło „nie sprzeciwiania się złemu”, rozumiejąc dobrze, że ziemiaństwo, zwłaszcza t. zw. kresowe, nie przedstawia dziś żadnej siły samoistnej i że najmniejsze niezadowolenie zeń w sferach miarodajnych pozbawi je reszty wpływów i znaczenia.

Cała jego egzystencja zależy dziś od dobrej woli czynników rządzących. Jeden dekret Prezydenta z łatwością może je stracić na dno przepaści Doktrynerzy w rodzaju p. St. Wańkowicza może nie zdają sobie z tego sprawy, ale bardziej giętki politycy, inspirowani przez usłużnego p. Cata, żadnych złudzeń pod tym względem nie żywią i do żadnej roli samodzielnej nie roszczą pretensji.

Pójdą wszędzie, dokąd ich poprowadzi pułk. Sławek. Byle móc żyć.

Turbator.

Z mego notatnika.

Instynkt, czy psychoza?

P. Testis, po powrocie z Litwy Niepodległej, szeroko rozwiódł się na łamach „Kurjera Wileńskiego” o uporczywych plotkach, krążących wśród ludności litewskiej na temat katastrofy bohaterów lotników Dariusza i Girenasa, która, według ogólnego mniemania w Litwie, nastąpiła nie wskutek burzy, lecz wskutek złej woli i zbrodniczych machinacji czynników niemieckich, przyczem wersje na ten temat są niezmiernie różnorodne, zgodne zaś są tylko na jednym punkcie, mianowicie, że do katastrofy przyczyniła się ręka niemiecka.

To przeświadczenie, utrzymujące się w szerokich kołach ludności litewskiej, wbrew oficjalnym zaprzeczeniom i komunikatom, zdaniem p. Testisa, jest dowodem *zdrówego instynktu narodowego*, podsycającego w masach ludowych uczucia nieufności i niechęci do Niemiec.

Wydaje mi się, że p. Testis nieco się zagalował.

Można być pewnym, że, gdyby katastrofa wydarzyła się na terytorjum Polski, ta sama *zdrowa* opinia przypisałaby winę jej Polakom. I żadne zaprzeczenia, chociażby pochodziły z najbardziej niepodjejranych o polonofilstwo źródeł, nie potrafiłyby obalić tego przekonania.

Bo masy są zawsze żadne *sensacji*. Powody naturalne, jasne, logiczne nie zadowalniają tłumów. Przecież na każdym kroku spotykamy się z tem zjawiskiem, że najzwyczajniejszy wypadek w interpretacji kucharek i dozorczyń nabiera jakiegoś tajemniczego charakteru, o którym nic nie wiedzą władze policyjne i śledcze. A analfabetom i półinteligencji pod tym względem nie ustępują i sfery inteligentne, od których, zdawałoby się, można wymagać większego krytycyzmu i znajomości rzeczy.

Ileż to razy słyszeliśmy kolportowaną uporczywie od góry do dołu pogłoskę: to robota żydowska, chociaż wystarczało trochę zastanowienia, by zrozumieć, że Żydzi nie mogli w danym wypadku odegrać najmniejszej roli. Albo swego czasu była moda na bolszewików. Wydarzyła się katastrofa kolejowa — to bolszewicy ją spowodowali. Wybuchł gdzieś wielki pożar — to bolszewicy gmach podpalili. Zatonął statek — niewątpliwie dzieło rąk bolszewickich. Nawet w czynach popełnionych przez wyraźnych, niedwuznacznych przeciwników bolszewizmu, dopatrywano się nieraz prowokacji bolszewickiej.

Teraz przyszła kolej na Niemców. Atawistyczne zarówno u Słowian, jak u Litwinów uprzedzenie do Niemców, datujące się z czasów najazdów krzyżackich, a odnowione i wzmocnione w okresie okupacji niemieckiej, każe dopatrywać się przewrotności i wrogich knań ze strony zachodniego sąsiada nawet tam, gdzie niema miejsca na żadną uzasadnioną podejrliwość.

Co mogłoby szkodzić Niemcom, jako państwu i jako narodowi, gdyby lotnicy litewscy wylądowali szczęśliwie w Kownie? Jaki interes państwowy, czy narodowy Niemiec na temby ucierpiał? Rzecz jasna, że posadzanie Niemców o umyślne a nawet przy padkowe strącenie (w ten lub inny sposób) samolotu litewskiego na ziemię jest najzupełniej bezpodstawne i nie wytrzymuje krytyki, tembardziej, że prócz gołosłownych plotek niema absolutnie żadnych danych, usprawiedliwiających podobny wniosek.

Więc nie *zdrowy* instynkt narodu przemówił

przez usta mas litewskich, lecz *niezdrowa* psychoza nacjonalistyczna, dopatrująca się u sąsiednich narodów niskich pobudek i skłonności do najnikczemniejszych czynów. Bo, powtarzam, jestem głęboko przekonany, że ten sam *zdrowy* instynkt skierowałby podejrzenia ludności litewskiej w stronę Polski, gdyby samolot Girenasa i Dariusza spadł gdzieś na piaskach mazowieckich, a nie brandenburskich.

Ubolewać tedy przeciwnie należy, a nie cieszyć się z ciemnoty tłumów, do których nie przemawia ani rzeczywistość, ani logika, lecz któremi kieruje pierwotna nieufność i podejrliwość.

Licz.

Dokoła IV konferencji unijnej w Pińsku.

(Opinie uczestników).

Szereg uczestników odbytej w dn. 7—9 września r. b. w Pińsku konferencji unijnej nadesłał nam uprzejmie lub ustnie zakomunikował swoje wrażenia i uwagi. Przeważnie są to głosy Polaków, bo wśród dzielących się z nami widzianiem i słyszanem znalazł się tylko jeden Ukrainiec i jeden Białorusin.

Cytaty z niektórych listów poprzedzamy personaliami konferencji, która w r. b. odbyła się *sub auspiciis* ks. arcybiskupa Jałbrzykowskiego, ks. biskupa Bukraby, ks. biskupa i wizytatora Czarneckiego i sufraganów Niemiry (Pińsk) i Łatyszewskiego (Stanisławów). Przykro odczuwała się nieobecność sędziwego metropolity Roppa i ruchliwego biskupa Przędzieckiego. Ogólna liczba uczestników nie była chyba niższa niż w roku ubiegłym. Rozważając skład zjazdu pod względem narodowościowym, stwierdzić trzeba nieobecność kilku wybitnych unjonistów polskich, dotychczas stałych bywalców konferencji pińskich, ks. profesorów Kromera, Cichowskiego i Niechaja oraz ks. prałata Około Kułaka, co razem wzięte, niestety, wcale nie świadczy o wzroście zainteresowania unjonizmem wśród kleru polskiego. Mniej też było depech powitalnych. Ukraińcy, którzy wpraw gotowi byli tym razem powstrzymać się od udziału w IV konferencji pińskiej, przybyli nawet dość licznie, w tej liczbie aż czterech bazylianów z red. Skrutnikiem na czele. Symptomatyczną jednak była nieobecność tak poważnych gości ze Lwowa, jak prof. Tabiński i ks. red. Chomyn. Może jeszcze bardziej rzucało się w oczy nieprzybycie na konferencję ks. dr. Kaz. Kułaka, dziś proboszcza w Landwarowie, który obok ś. p. b. pa Łozińskiego i ks. Urbana był jednym z najczynniejszych promotorów zainicjowania konferencji unijnych w Pińsku i przyczynił się dużo do zorganizowania trzech poprzednich konferencji, co mu chętnie przyznają nawet jego przeciwnicy. Biskup Bukraba zdobył się w stosunku do ks. Kułaka na naprawdę piękny gest, bo w przededniu otwarcia konferencji wystosował do niego specjalne zaproszenie. Było atoli już zapóźno, nawet przy szczerzych chęciach, na jakąś zmianę ustosunkowania się ks. Kułaka i Białorusinów wogóle do zjazdu pińskiego. Podrażniony używaniem na konferencji zesłorocznej języka białoruskiego, nie przybył tym razem i o. mitrat Hapanowicz. I dobrze wyczuł, bo w r. b. język rosyjski jeszcze mniej rozbrzmiewał w Pińsku. Władysław Czarnecki również posługiwał się wyłącznie mową ukraińską i polską.

Wilno, jak zresztą zwykle, reprezentowali na konferencji: ks. Macewicz T. J., ks. prof. Świrski

i ks. prof. Marcinowski, nie licząc ks. kan. Lubiańca, który dziś przewodniczy akcji unijnej *w obrządku łacińskim a w języku polskim*, bardziej dlatego przypadającej u nas do gustu miarodajnym czynnikom tak duchownym jak świeckim.

Posłuchajmy teraz wrażeń. Oto wytrawny, a wolny od nacjonalizmu ksiądz Polak pisze: „Konferencja unijna przeszła dobrze. Poruszono w szeregu referatów wiele podwalin sprawy. Ukraińcy górowali. Są to bardzo poważni ludzie. Był i sufragan biskupa Chomyszyna, i archimandryta Klemens Szeptycki, i o. Tadeusz Rzewuski. Na zakończenie odbyła się celebra władzy Czarneckiego. Trudno jednak w łacińskim kościele, bez ikonostasu etc., rozwinąć w całej pełni i pięknie mistyczną wspaniałość obrzędów synodalnych, więc chwilami widzę odczuwać pewne zamieszanie przeżyć i wrażeń, łącznie zapewne z samym celebrazem — i soborną jego asystą. Ze strony księży polskich wyczuwam niechęć do całej konferencji. Gniewa ich to, że mówiono na niej też po białorusku, rosyjsku i ukraińsku”.

Inny ksiądz Polak z Małopolski, szczerzy unjonista, takie wyniósł z Pińska wrażenia: „Konferencja w Pińsku odbyła się bez większych zgrzytów (parę mniejszych było—gdzie ich niema?!). Jak np. ponowiony zeszłoroczny korreferat ks. Poczipki *o obrządku łacińskim bez łaciny* (czyli z językiem słowiańskim jako liturgicznym). Odczuliśmy przykro nieobecność ks. dr. Kaz. Kułaka. Ostatecznie poza referentami imiennie nikt nie był proszony, więc każdy mógł zgłosić swój przyjazd. Mógł był to uczynić, formalnie rzecz biorąc, i ks. Kułak. I w tem leży możność odparcia zarzutu „pominięcia” wysuwanego przez prasę białoruską w Wilnie. Jak się dowiaduję w ostatniej chwili, ks. Kułak bynajmniej pominięty nie był, a nawet jako inicjator właściwy konferencji, otrzymał w tych warunkach konkretnych osobne zaproszenie. Znamienne, że po raz pierwszy w Pińsku była reprezentowana diecezja stanisławowska obrz. gr.-kat., przez osobę ks. biskupa Łatyszewskiego. Dotąd ks. biskup Chomyszyn patrzył krzywo na te zjazdy i na naszą akcję unijną”.

Teraz głos księdza Ukraińca: „Konferencja w Pińsku miała kilka dobrych referatów (o.o. Kipyj, Urban, Świrski) i chwilami b. ożywioną a ciekawą dyskusję. Było też parę referatów na niedość wysokim poziomie, czego w przyszłości trzeba unikać. Mimo wszystko myślę, że w krzyżowej drodze, jaką kroczy Unja św., te konferencje raczej oddają jej trochę przysługi Szymona Cyrenejczyka i Weroniki, chociaż to, co źródłem największego dla Unji św. cierpienia i trudności, zawsze jeszcze zostaje zakryte pod zasłoną milczenia. — Myślę, że Białorusini na drugi rok znowu powinni do Pińska się zjawić. *Les absents ont toujours tort*”.

Wreszcie głos księdza Białorusina z głębokiego Polesia: „Sporo się pisało i mówiło o bojkocie przez Białorusinów IV konferencji unijnej w Pińsku. Tak źle znowu w rzeczywistości nie było. Wszak sami zwolennicy bojkotu głośno mówili, że pożądanem byłoby wysłać tam przynajmniej korespondenta obserwatora, by przecież wiedzieć, co się dzieć będzie. Wobec powyższego z całym spokojem uważałem dla siebie za wskazane udać się do Pińska na konferencję, gdzie znalazłem kilku ziomeków. Nie tylko pilnie przysłuchiwałem się konferencji, lecz zabierałem nawet głos. Że język białoruski cieszył się na konferencji pełnią praw, świadczy wygłoszony przez

ks. Poczipkę korreferat do referatu ks. rektora Dąbrowskiego T. J. z Dubna. Głosowi korreferenta szczególnie uważnie się przysłuchiwał ks. kan. Lubianiec i miał podobno dużo do powiedzenia na poruszone w korreferacie tematy, jednak zaraz po wysłuchaniu go, musiał wyjechać, wyraziwszy ubolewanie, że musi opuścić ciekawą dyskusję”.

Przed swem rozwiązaniem IV konferencja zapowiedziała wydanie pamiętnika i zwołanie V konferencji unijnej w Pińsku w r. 1934, która oby znalazła wśród kleru i społeczeństwa polskiego więcej zrozumienia i życzliwości, dotychczas bowiem pamiętne słowa Ojca św. Piusa XI, wystosowane do b-pa Przeździeckiego w Rzymie, a dotyczące przeciwdziałania akcji unijnej w obrz. wsch., ściągnęły na siebie zero uwagi.

Vigilans.

Wobec ukazania się niedawno w „Dzienniku Wileńskim” korespondencji z nad Dźwiny, w której autor twierdził, iż ks. kan. Józef Borodicz otrzymał od generała jezuitów o. Włodzimierza Ledochowskiego część relikwii bł. Andrzeja Bóboli dla kościoła w Bobolewie, dokąd je z uroczystą procesją wprowadził, sekretarz do spraw polskich w kurji generalnej Towarzystwa Jezusowego w Rzymie o. Żukowicz listem z 8. IX. r. b. podaje do wiadomości i zapewnia nas, że o. generał ks. kan. Borodiczowi *żadnych* relikwii nie ofiarował, natomiast w maju r. b. ostatnio przesłał relikwie (reki) Błogosławionego, ale nie ks. Borodiczowi, lecz Kolegium T. J. w Lublinie — Bobolanum. Więc cała korespondencja z nad Dźwiny w „Dzienniku Wileńskim” oparta jest w najlepszym razie na jakimś nieporozumieniu.

Kto rządzi archidiecezją prawosławną w Wilnie?

Piękny a uroczysty był przebieg XXV letniego jubileuszu sakry biskupiej prawosławnego arcybiskupa wileńskiego i lidzkiego Teodozjusza. Pamiętamy jeszcze i znamy z wydawnictwa jubileuszowego wygłoszone wtedy na przyjęciu przemowy wojewody ówczesnego Raczkiewicza, jak też zawsze pełne głębokich myśli słowa prof. Zdziechowskiego, wizytę rektora U.S.B. Pigionia i inne honory i hołdy. Nadeszły wówczas także liczne depesze z blizka i zdaleka. Przysłowiowo pokłócona emigracja rosyjska i o wiele mniej liczna grupa autochtonów, uważających siebie za Rosjan, wystąpiły w owym dniu zgodnie. Całość sprawiała wrażenie, że jubileusz ogromnie umocnił pozycję arcybiskupa Teodozjusza tak w stosunku do rządu polskiego, jak do społeczeństwa rosyjskiego. To, że podczas obchodu nie wpłynął do rezydencji arcybiskupiej w monasterze św. Ducha żaden adres od Białorusinów prawosławnych, zdawało się wtedy prosto drobnostką, wobec rzadkiej jednomyslności Rosjan jednych i drugich, garnących się ufnie a ze czcią do osoby dostojnego jubilata. Można było spodziewać się, że odtąd silny swem oparciem o rząd i emigrację lub elementy doszczętnie zrusyfikowane, tron archierejski u św. Ducha będzie wcale mocnym ośrodkiem dla wileńsko lidzkiej archieparchji, konsolidując organizacyjnie zebrany zewsząd jej kler, przewodząc duchowo zdezorientowanej rosyjskiej inteligencji i wiążąc duszpastersko i przez religijną oświatę wierzący lud z hierarchją.

Kilka energiczniejszych jednostek, z ideowym a niestrudzonym referentem konsystorza prawosławnego na czele, zmontowało zresztą cały ten obchód, który dla dalej stojących łatwo mógł się wydawać zbiorową pracą liczniejszego o wiele *komitetu* jubileuszowego. Lecz nie o to chodzi. Rzecz ciekawsza i naprawdę znamienita, że chwila obchodu jubileuszu arcybiskupa Teodozjusza stała się momentem kulminacyjnym w jego działalności arcypasterskiej na terenie archidiecezji. Odtąd bowiem rozpoczął się b. rychło upadek autorytetu archierejskiego w Wilnie, niefortunny dobór i stąd ciągła zmiana najbliższych współpracowników, szalone tarcia zakulisowe o wpływ na coraz częściej zapadającego na zdrowiu i bardzo już leciwego arcypasterza, dojsię do niesłychanych wpływów na ordynarjusza często napół piśmiennych jego „kielejników” (tego *corps de garde*), nieład i protekcjonizm w konsystorzu prawosławnym oraz w następstwie dezorganizujący i deprymujący wpływ siedziby archierejskiej w Wilnie na podwładny kler w Wileńskim i Lidzkim.

Prawosławni i nie prawosławni, rzecz można, całe Wilno świadome spraw bieżących, dowiadywało się nieustannie *volens nolens* o tem, że arcybiskup Teodozy jest ni mniej ni więcej manekinem w rękę sprytnych protojerów lub archimandrytów, acz za ich posunięcia odpowiedzialność sam ponosić musi tak przed rządem, jak społeczeństwem prawosławnym. I informatorem o tem była nietylko plotka uliczna, źródło zwykle o małej wartości, lecz — memoriały do metropolity Dionizego i Synodu, procesy sądowe przy otwartych drzwiach, artykuły prasowe, często zamieszczane przez organy znane z życzliwości dla Cerkwi prawosławnej u nas, jak wileńskie „Słowo” i „Kurjer Wileński”. Czyż nic nam nie mówią kaprysy losu, który to wynosił, to grażył, takie postacie dokoła arcybiskupa Teodozjusza, jak o. Filipa Morozowa, ś. p. protojereja Kuszniewa, żyjących protojerów Tuczemskiego, Dziczkowskiego i in.?. A zmiany w konsystorzu, które nie oszczędziły nawet głównego organizatora i reżysera jubileuszu archierejskiego, w osobie referenta p. B! A wręcz zakłamanym stosunek ordynariatu prawosławnego w Wilnie do postulatów językowych białoruskiej masy prawosławnej na prowincji, gdzie czyha nań propaganda wszelkiego sekciarstwa!

Wszystko to razem wzięte wykopało po jubileuszu arcybiskupim b. rychło przepaść między władzą a owczarnią. I dziś arcybiskup Teodozy, wypróbował już wartość wszystkich swych doradców duchownych i nie duchownych, nie mając przy boku ani sufragana, ani człowieka godnego jego zaufania, musi czuć się b. obco. Sędzliwe lata, ciężkie niedomagania, wysokość stanowiska zapewne nieco mitygują krytyków jego rządów, lecz to sytuacji nie ratuje i nikogo nie usprawiedliwia. Zrozumiałą jest też rzeczą, że rząd, opiekując się materialnie Cerkwią prawosławną i licząc na znaną uległość prawosławia, korzysta skwapliwie z takiej sytuacji w Cerkwi prawosławnej u nas i swą ingerencję posuwa wcale daleko. Ani w Grodnie, ani w Pińsku, gdzie są władcy o silniejszej ręce, czegoś podobnego niema i być nie może, bo wszędzie idzie proces konsolidacji, inaczej jest tylko w Wilnie. Zrozumiemy więc dlaczego w społeczeństwie rosyjskiem i prawosławnym w Wilnie kursuje powiedzonko: *U nas archiepi-skopom Wiktor Piotrowicz, a jego wikarym o. Filip*

Morozow. Jeśli spytamy o konsystorz prawosławny w Wilnie, usłyszy się zwykle: *Nasza konsistorija — odno biezobrazije.*

Wielki czas, by w interesie ogółu Cerkiew prawosławna w naszym kraju mogła zacząć pozytywnie spełniać swe zadania względem ludności wyznania prawosławnego.

Hleb.

O własnych siłach.

Przed niedawnym czasem w wileńskiej prasie polskiej zwłaszcza w „Dzienniku Wil.” raz po raz ukazywały się alarmujące wiadomości o wzmożonej niezmiernie akcji społeczeństwa litewskiego w dziedzinie ekonomicznej. Pisano dużo o wykupywaniu domów w Wilnie przez Litwinów, o zakupie całych majątków, o zakładaniu przedsiębiorstw etc.

Reporterskie te fantazje mogły jedynie wywołać wzruszenie ramion u wszystkich tych, którzy utrzymują kontakt towarzyski i kulturalny z miejscowym społeczeństwem litewskim. Było rzeczą ogólnie znaną, że rzekomo zakrojona na wielką skalę litewska akcja ekonomiczno-społeczna ograniczała się do zakupu gmachu przy ul. Dąbrowskiego (dawnego Klubu Poleskiego), przeznaczonego dla gimnazjum Im. Witolda Wielkiego, odkupienia od spadkobierców inż. Piotra Wilejszysa posesji na Antokolu, w której domach ulokowane zostały stowarzyszenia kulturalno-oświatowe litewskie oraz do nabycia gmachu przy zbiegu ul. Montwiłłowskiej z ul. Ad. Mickiewicza (b. Klubu Przemysłowo-Handlowego) przez spółkę złożoną z dr. Legiejki, inż. Wengrisa oraz Stowarzyszenia Litewskiego Pomocy Sanitarnej, dla przeniesionej z pierwotnego lokalu przy ul. Wileńskiej polikliniki.

Dn. 10 b. m. odbyło się właśnie uroczyste poświęcenie wzorowo urządzonej lecznicy w nowym lokalu z udziałem licznych przedstawicieli rozmaitych sfer miejscowego społeczeństwa bez różnicy narodowości. Poświęcenia zakładu dokonał J. E. ks. arcybiskup Jałbrzykowski, który też wygłosił odpowiednie przemówienie, życząc powodzenia zastrzeżonej placówce na nowym miejscu i w nowych warunkach, poczem dr. Olsejko w krótkich słowach skreślił dzieje lecznicy i jej reorganizacji, podkreślając m. inn. cechę wyróżniającą ją od innych tego rodzaju instytucyj, która polega na tem, że chorzy mają możliwość porozumiewania się z obsługą w swym ojczystym języku, co niejednokrotnie może mieć wpływ dobroczynny na ich psychikę, a w konsekwencji na stan ich zdrowia i postępy rekonwalescencji.

Istotnie przysлуhując się rozmowom, prowadzonym mniejszymi lub większymi grupkami przez zebranych na otwarciu gości, można było posłyszeć wszystkie krajowe języki i z tego względu, chociaż popularnie poliklinika nosi miano litewskiej, właściwsza nazwa byłaby dla niej „Lecznica Krajowa”.

Nie potrzebujemy dodawać, że odnowionemu i urządzonemu wzorowo zakładowi leczniczemu, dźwigniętemu wyłącznie siłami miejscowymi, życzymy z całego serca powodzenia i rozkwitu.

OD ADMINISTRACJI.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na kwartał IV.